NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 52. | Wąbrzeźno, dnia 24 grudnia 1927 r. | Rok 4

Ewangelje na uroczystość Bożego Narodzenia.

Ewangelja czytana podczas pierwszej Mszy św.

św. Łukasza rozdz. 2, wiersz 1—14.

Stało się, że w one dni wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystek świat. Ten popis pierwszy stał się od starosty Cyryjskiego Cyryna. I szli wszyscy, aby się popisali, każdy do miasta swego. Szedł też i Józef od Galilei z miasta Nazaret do miasta Dawidowego, które zwą Betleem: przeto, iż był z domu i pokolenia Dawidowego, aby był popisan z Maryą, poslubioną sobie małżonką brzemienną. I stało się, gdy tam byli, wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła Syna swego pierworodnego, a uwinęła Go w pieluszki i położyła Go w żłobie, iż miejsca nie było im w gospodzie. A byli pasterze w tejże krainie czujący i strzegący nocne straże nad trzodą swoją. A oto Anioł Pański stanął podle nich, a jasność Boża zewsząd ich oświeciła. I zlękli się wielką bojaźnią. I rzekł im aniol: Nie bójcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowem. A ten wam znak daję: znajdziecie Niemowlątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie. A natychmiast było z aniołem mnóstwo wojska niebieskiego, chwalących Boga i mówiących: Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Ewangelja czytana w czasie drugiej Mszy św.

św. Łukasza rozdz. 2, wiersz 15 - 20,

Pasterze mówili jeden do drugiego: Pójdźmy aż do Betleem, a oglądajmy to słowo, które się stało, które nam Pan pokazał. I przyszli kwapiąc się i naleźli Maryę i Józefa i Niemowlątko położone w żłobie. A ujrzawszy poznali słowo, które im było powiedziane o Dzieciątku tem. A wszyscy, którzy słyszeli, dziwowali się temu i co do nich pasterze mówili. Lecz Marya wszystkie te słowa zachowywała stosując w sercu swojem. I wrócili się pasterze, wysławiając i chwaląc Boga ze wszystkiego, co słyszeli i widzieli, jak im powiadano.

Ewangelja czytana w czasie trzeciej Mszy św.

św. Jana rozdz. 1, wiersz 1—14.

Na początku było słowo, a słowo było u Boga, a Bogiem było słowo. To było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało. W niem był żywot, a żywot był światłością ludzi. A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły. Był człowiek posłany od Boga, któremu na imię było Jan. Ten przyszedł na świadectwo, aby dał świadectwo o światłości, aby przezeń wszyscy wierzyli. Nie był on światłością, ale izby świadectwo dał o światłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego. Na świecie był, a świat jest uczynion przezeń, a świat Go nie poznał. Przyszedł do własności, a swoi Go nie przyjęli. A ilekolwiek ich przyjęli Go, dał im moc, aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego, którzy nie ze krwi, ani z woli ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili. A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami (i widzieliśmy chwałę Jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca) pełne łaski i pełne prawdy.

Dzień św. Szczepana w tradycji ludowej.

„Na św. Szczepan, każdy sobie pan“ powiada stare polskie przysłowie ludowe. Słyszymy je czasem, lecz mało kto wie, jak ono powstało.

Jest to przedewszystkiem przysłowie ludzi, będących w służbie. Józef Gluziński, badacz zwyczajów ludowych, drukuje w „Archiwum domowem“, wydawanem w Warszawie w r. 1856 szczegóły zwyczajów w dniu św. Szczepana w lubelskiem obchodzonych.

Dnia tego wszyscy parobcy u gospodarza, t. zw. czeladź opuszczali chaty swoich chlebodawców, szli do karczmy i tam przy gorzałce chwalili lub obmawiali swoich gospodarzy, którzy znów ze swej strony starali się zjednać sobie poczęstunkiem najlepszych pracowników na rok nadchodzący.

W niektórych wsiach gospodyni w dzień św. Szczepana gotowała na wieczerzę doskonały barszcz z mięsiwem, nalewała na miskę i stawiała na stół. Gospodarz pierwszy brał łyżkę i

wzywał czeladkę do jadła mówiąc „spożywajmy co Bóg dał.“ Wtedy kto z czeladzi przysiadł się do miski, ten dawał dowód, że zamierza pozostać w służbie na rok przyszły, kto zaś nie jadł i wychodził z chaty, tem samem oznajmiał, że nadal służyć nie będzie. Nikt mu nie czynił wymówki, zerwanie stosunków odbywało się niejako „na migi“. Sąsiedzi pytali, kto barszczu nie jadł i takiego namawiali do siebie na służbę.

Od dnia świątecznego i nazwa zadatku dawanego służbie przed nowym rokiem nosi do dziś określenie „kolendy“. Zadatek taki bywał dawany czeladzi właśnie w dzień św. Szczepana i był uważany jako zawarcie umowy. Służący nie ważył się przyjąć innego miejsca, dopóki nie zwrócił otrzymanej „kolendy“, która bywała zwykle wliczana do całości zapłaty rocznej.

Przed laty jeszcze kilkunastu istniał zwyczaj, że służba dworska w dzień św. Szczepana rano przychodziła przed pałac dziedzica, przyprowadzając inwentarz, będący pod jej opieką. Zjawiał się więc pastuch z krową, mającą pięknie przybrane wstążkami rogi, owczarz z pięknie ustrojonym baranem, fornale wplatali koniom barwne wstążki w grzywy, nawet dziewka od trzody przyprowadzała wieprzka, kucharka kurę, przyczem towarzyszyła temu zwyczajowi ogólna wesołość a potem poczęstunek lub hojny napiwek.

W drugie święto Bożego Narodzenia zaczyna się też śpiewanie kolend po domach, t. zw. „chodzenie z kolendą“. Dziewczęta i chłopcy rozbiegają się po wsi i kolendują pod oknami, będąc potem gościnnie częstowani przez gospodynie.

W niektórych stronach chłopcy chodząc po domach odgrywają scenę z szopki, jak Heród zostaje ścięty przez śmierć i zabrany przez djabła do piekła. Jest to coś w rodzaju teatru wędrownego. Niektórzy twierdzą, że zwyczaj ten nie ma nic polskiego w sobie.

O ile pierwsze święto jest dniem skupienia, o tyle dzień św. Szczepana jest dniem rozrywki i wesołości.

Jezus w Betleemie.



Hen w Betleemie
Dzieciątko drzemie
Na sianku w żłobie
I kwili sobie.

A wtem gromada
Pastuszków pada
Z kornym pokłonem
Przed żłóbkiem — tronem.

Wraz trzej królowie,
Cni monarchowie
Składają dary
Serc swych ofiary.

Józef, Marya,
Raczo się zwija,
W ciężkiej godzinie
Ulżyć dziecinie.

Widok wspaniały —
Bo Jezus mały
Mile się bawi
I błogosławi.

My polskie dzieci
W życia zamieci —
Dobrze to czujem —
Łask potrzebujem.

Więc Dziecię Boskie,
Wszelaką troskę
Racz nam odbierać,
Stale nas wspierać.

Byśmy cnotliwie
Oraz szczęśliwie
Na świecie żyli,
Boga chwalili.

Swemu krajowi
I narodowi
Pracując chętnie
Służyli skrzętnie.

A zaś po zgonie,
Przy Twoim tronie
Daj, Jezu Panie,
Nam zamieszkanie!

Wigilja prof. Wileckiego.

1) (Przedruk zastrzeżony B. O. L.)

Profesor Zdzisław Wilecki siedział na ławeczce w pustym zakątku parku miejskiego, pomimo, że już mrozy grudniowe ogołociły zupełnie drzewa z ostatnich zżółkłych liści i pokryły je iskrzącemi się jak najpiękniejsze brylanty kryształami szronu i delikatnemi płatkami puszystego śniegu. Miał on wygląd bardzo zgnębionego i nieszczęśliwego człowieka.

Istotnie niespodziewany grom uderzył w jego szczęście rodzinne. Ilona, prześliczna a tak bardzo ukochana przez niego żona, opuściła go nagle. Całe miasto oddawna wiedziało i plotkowało o romansie pięknej pani Wileckiej ze znanym aktorem Januszem Otockim, tylko on jeden widział w tem zwykłą rozrywkę i chęć zabawy swej pięknej żony.

Aż pewnego razu, wszedłszy niespodziewanie do salonu, zastał ich oboje w najczulszym uścisku miłosnym i nagle łuska spadła mu z oczu.

Schwyciwszy wyperfumowanego aktora za śnieżnej białości gors, zmiętosił go w ręku, a przechyliwszy zaskoczonego nagle adonisa przez brzeg stojącego w kącie fortepianu, uraczył go kilkoma głośnemi policzkami.

Otocki ochłonąwszy z pierwszego przerażenia odstąpił kilka kroków, stanął w pozie teatralnej, a zdejmując z wypieszczonej dłoni rękawiczkę, rzucił ją pod nogi Wilskiemu z gestem pogardy.

— Mój panie — rzekł cedząc każde słówko — jesteś podły, żądam od pana satysfakcji honorowej, albo ubiję cię jak psa na miejscu.

Wilecki nie dał żadnej odpowiedzi, zadzwonił natomiast na służącego i rozkazał wyrzucić aktora za drzwi. Po tej scenie zwrócił się do żony, która stała blada, ale stanowcza i wyprostowana dumnie.

— Więc to tak się ma ta sprawa, Ila? To jest więc twoja wdzięczność i zapłata za moją dobroć i poświęcenie się dla ciebie?

Zamiast odpowiedzi Ilona zadała mężowi pytanie:

— Dlaczego nie chcesz się bić z Otockim? Czy się boisz, aby cię nie zabił?

Zdzisław Wilecki poczerwieniał. To posądzenie o tchórzostwo z ust ukochanej kobiety zabolało go dotkliwie.

— Nie, — rzekł spokojnie — on nie jest człowiekiem honoru, znam dokładnie sprawki aktora Otockiego, jest on nietylko szuler, ale nawet złodziej. A z takim, rozumiesz, żaden człowiek uczciwy się nie pojedynkuje.

Ilona zakrzyknęła boleśnie. – Nie on, lecz ty jesteś podły, podły i tchórz! Dzisiaj jeszcze opuszczam twój dom.

Od tego dnia Zdzisław Wilecki pozostał sam w opustoszałym domu, jedynie tylko jego stara piastunka dotrzymywała mu towarzystwa i starała się o jego potrzeby. Oddalił resztę służby, popłacił wszystkie długi Ilony, co uczyniło znaczną sumę, piękna pani była bowiem rozrzutną i miała wybryki królowej. Piękność jej potrzebowała odpowiedniej oprawy. Sprzedał również meble i postanowił zamieszkać gdzieś w jakimś zakątku, zdala od zgiełkliwego świata, aby zapomnieć i stłumić ten ból, który szarpał jego duszę.

Ilona tymczasem wyjechała z aktorem Otockim gdzieś na Riwierę.

* * *

Na stoku góry ukryty w głębokim jarze stał mały śliczny domek. Była to dawna chata góralska, którą profesor Zatorski kazał dla siebie przebudować. Zakopane było jego ulubioną miejscowością. Oddawna pragnął urządzić tam dla siebie coś w rodzaju laboratorjum, aby w ciszy i spokoju oddać się zupełnie swej ukochanej chemji i botanice.

Mieszkał tu już cztery lata. Wszyscy górale okoliczni, jak również kuracjusze znali samotnego profesora, zawsze milczącego. Szanowano jego tajemnicę, która jednakże znana była wszystkim. Latem widywano go uganiającego się za motylami, albo zbierającego rzadkie rośliny. Często widywano go w tych wycieczkach wspinającego się na niedostępne urwiska, zawieszonego nad przepaścią. Ogólne było mniemanie, że prędzej czy później profesor stanie się ofiarą nieszczęścia, było bowiem widoczne, iż lekceważył własne życie.

Po czterech latach takiego życia już nie odczuwał tak swego osamotnienia i przyzwyczaił się do niego. Jedynie, gdy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, gdy widział wszędzie światła w oknach i przygotowania do wilji, natenczas jedynie odnawiała się stara rana w sercu, o której starał się zapomnieć, szukając ukojenia w swych ulubionych książkach i studjach, bo nauka była obecnie jego miłością, a ta nie zdradzi go nigdy.

Oto dzisiaj właśnie jest dla niego taki dzień feralny. Dla innych to dzień szczęścia i radości, ale dla takiego samotnika ze złamaną duszą — to dzień najsmutniejszy. Mógłby wprawdzie przyjąć jakie zaproszenie, otrzymał ich kilka, ale raziły go ciekawe spojrzenia obojętnych ludzi, nie lubił być interesującym dla kobiet, a żałowanym przez mężczyzn.

W Zakopanem panował w pełni sezon zimowy, wyścigi narciarskie, saneczkowanie i inne sporty sezonu. Zgiełkliwy rozgwar wesołych rozbawionych, młodych głosów dobiegał z za okna, ktoś rzucił kulą śniegu w ramę okienną, pobrzękiwały łyżwy w ręku młodych panienek, wszyscy cieszyli się i radowali życiem. A wieczorem zasiadą oto do stołu wigilijnego rozradowani, szczęśliwi, kochani, nieznający tego bólu, przepełniającego jego duszę. Profesor usiadł przed kominkiem, na którym palił się suty ogień i zamyślił się głęboko.

Przed oczyma jego duszy przesuwały się obrazy minionych lat. Oto taki sam piękny dzień jak dzisiaj. Ilona, prześliczna jak marzenie, w białej jedwabnej sukience, błyszcząca brylantami, któremi ją obsypywał przy każdej sposobności, uwija się w ich pięknem mieszkaniu wydając służbie ostatnie rozporządzenia przed wieczerzą wigilijną. Śliczna była w tym stroju i brylantach. Piękna twarzyczka jaśniała promiennym uśmiechem, uradowana niezmiernie z drogiego futerka, jakie otrzymała w prezencie gwiazdkowym od męża; więc pocałunkom i uściskom nie było końca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skarb Watażki.

4) POWIEŚĆ.

— Jeżeli o to ci tylko chodzi, nic nie mam przeciw temu — rzekł Fogelwander — właśnie o tej porze znajdziesz ich przy robocie na szańcach karmelickich, idź tam a zobaczysz.

— Ja już byłem, ale mnie dragoni puścić nie chcą..

— Mam na szczęście obowiązek służby na tem miejscu i idę tam zaraz; możesz pójść ze mną...

Rzekłszy to oficer, przypiął szpadę i wyszedł ze żydem z domu.

Przyszedłszy na miejsce, gdzie stu kilkudziesięciu opryszków pracowało przy beczkach, minęli straże i weszli na główne miejsce roboty. Skoro Szachin ujrzał nieszczęsnych jeńców, twarz jego zmieniła się do niepoznania.

Z największą uwagą począł rozpatrywać się między zgromadzonymi hajdamakami.

Fogelwander, którego cała zagadkowa postać Szachina zaciekawiła niemało, śledził go bacznie.

Nagle oczy handlarza dusz strzeliły żywszym blaskiem, rozświeciły się z widocznym wyrazem dziwnego zadowolenia.

Między pracującymi hajdamakami znajdował się jeden. który postacią swą całą odbijał od towarzyszy niedoli i zwracał na siebie uwagę

Był to człowiek wprawdzie nie wysoki, ale potężnie zbudowany. Ubrany był w najnędzniejszą, w łachmany poszarpaną płótniaczkę, a pod nią rysowały się jego muskularne kształty, które kazały wnosić o olbrzymiej sile.

Małe ponure, ale ogniste oczy strzelały dzikim połyskiem z pod brwi nadzwyczaj gęstych, szerokich i krzaczastych. Nos był spłaszczony, czoło niskie i ostro sklepione, twarz oszpecona wielkiemi bliznami.

Na tym to jeńcu spoczęło z widoczną radością oko Szachina. Po ustach handlarza dusz przewinął się uśmiech przelotny.

Tymczasem więzień spostrzegł przybyłych widzów. Spojrzał na Szachina. Spojrzenie to było krótkie, szybkie jak błyskawica, ale Fogelwander uważał je dobrze. W tem spojrzeniu malowały się najrozmaitsze uczucia — przerażenie, gniew wściekły i rozpaczliwa jakaś rezygnacja.

Im bardziej przypatrywał się Szachin, tem więzień większy zdradzał niepokój. Odwracał się w przeciwną stronę, pochylał i zasłaniał twarz swoją, od czasu tylko do czasu rzucając trwożne spojrzenie ku Szachinowi i oficerowi.

Kilka chwil tylko trwała ta scena.

Szachin ustąpił bowiem na bok i szepnął do Fogelwandra:

— Panie kapitanie, on jest, on tu jest, jako żywo, to on. Mój dawny sługa, biedne człowieczysko. On dwadzieścia lat służył u mnie; niech ja stracę wiele, ja go chcę wyratowac.

Fogelwander słuchał z udaną przychylnością, ale z twarzy mu widać było, że nie wierzy w słowa Szachina i w szlachetność jego pobudek.

— Zobaczymy — odparł — przyjdź do mnie jutro, dziś tego załatwić nie mogę

Szachin skłonił się kapitanowi i szybko wyszedł z szańców karmelickich. Uwolniony od niemiłego towarzysza, a zdjęty ciekawością, Fogelwander przystąpił bliżej do gromady hajdamackiej, aby się lepiej przypatrzeć postaci, której tajemniczy związek z Szachinem tak wyraźnie, choć niemo się przedstawił.

— Porwisz! — zawołał nagle Fogelwander.

Na zawołanie przyskoczył natychmiast stary wachmistrz od dragonji koronnej i wyprężywszy się służbiście, czekał rozkazu.

— Przyprowadź mi tego opryszka — rzekł oficer, wskazując palcem na więźnia.

— Tego łotra watażkę? — zapytał dla dokładności informacyj wachmistrz.

— Dlaczego zwiesz go watażką?

Bo to mości rotmistrzu ten rabuś miał jakąś szarżę między buntownikami. To hultajstwo miało swoich obersztów, oficerów i wachmajstrów, jakby w jakiem uczciwem wojsku.

— Czemże on był na tej rang — liście?

— Jedni mówią, że wodził kompanje i nazywają go kompańczykiem, drudzy watażką, a wszyscy go się boją okrutnie.

— Jakże on się nazywa? — zapytał Fogelwander.

— Trokim Żyr, mości rotmistrzu.

— Przywiedź go tu!

Wachmistrz poskoczył ku hajdamakom i powrócił z Trokimem.

— Mozesz odejść — rzekł oficer do wachmistrza.

Fogelwander pozostał sam na sam z Trokimem.

— Ty jesteś Trokim kompańczyk?

Więzień chwilkę milczał z głową opuszczoną. Nagle padł na kolana; całując stopy oficera, począł wołać błagającym tonem:

— Złoty panie!.. jasny rotmistrzu!... miłosierna duszo... pomiłuj! pożałuj!

Fogelwander odskoczył w tył.

Trokim poczołgał się za nim na kolanach i wznosząc do niego ręce, jak w modlitwie, wołał dalej z rozpaczliwym niepokojem:

— Pomiłuj! pożałuj! jasny rotmistrzu!... Zlituj się... a Przeczysta Panna nie zapomni ci tego i wszyscy Święci Ławry Peczerskiej. Nie trać duszy chrześcijańskiej, nie dawaj jej na pastwę niewiernemu!...

— Czegoż ty krzyczysz i czego chcesz odemnie? — zapytał Fogelwander, nie pojmując znaczenia tych słów błagalnych.

— Już ja widział jasny rotmistrzu — mówił Trokim dalej — Szachin niewiara nawarzył na mnie; po mnie on tu przyszedł, bodaj drogi nie znalazł a w piekło się zapadł gorące!... Złoty jaśnie panie, każ mnie rozstrzelać oto zaraz; sam mnie przebij na miejscu; nie markotno mi życia, ale nie wydawaj mnie w jego ręce.

Fogelwander zaciekawiony jeszcze bardziej, chciał bliżej wybadać Trokima, ale w tej chwili właśnie nadbiegł ordynans i oznajmił, że powołują go do sztabowej kancelarji w bardzo pilnej sprawie. Fogelwander przywołał Porwisza, nakazał mu jaknajściślej pilnować Trokima i przybył do sztabu.

Tu mu oświadczono, że ma natychmiast wyruszyć, z małym oddziałem chorągwi do Brodów, jako konwój sześciu dział, które z rozkazu króla niezwłocznie odstawione być miały do Kamieńca na usilne i rozpaczliwe naleganie komendanta tej twierdzy, jenerał-majora Witte'go.

(Ciąg dalszy nastąpi).